

LUDZIE

Halina Bajorska

NOCY

TO NIE JEST KOLEJNA
SZABLONOWA POWIEŚĆ
O WAMPIRACH
I WILKOŁAKACH!



© Copyright by Halina Bajorska

Projekt okładki i skład: Halina Bajorska

ISBN 978-83-934648-0-7

W przygotowaniu jest kolejna część
przygód wampirów i wilkołaków pt:

„Integracja”

Tej samej autorki polecamy również

e-book: **„Net”**



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji
zabronione bez pisemnej zgody autora.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Była wspaniała noc. Niebo oferowało cały komplet wszelkiego rodzaju gwiazd, od ledwo widocznych, poprzez błyszczące jaskrawo i złowieszczo na prawie czystym czarnym niebie. Od czasu do czasu pojawiała się smuga światła spadającego meteorytu, co na szczęście, wcale nie musiało zapowiadać wojny. Na pewno jednak można było się spodziewać nadejścia dziwnych i tajemniczych wydarzeń, niekoniecznie przyjemnych.

Straszący ciemnymi plamami księżyc powoli sunął po niebie a sine poszarpane obłoczki wijące się tuż nad horyzontem, tylko na krótko przysłaniały jego hipnotyzującą tarczę. Szkoda. Taka jasna tarcza budziła w ludziach niepokój, czasami nawet uzasadniony.

Dwaj młodzi, około trzydziestoletni mężczyźni siedzieli na balkonie podrzędnego motelu. Jego właściciel zdecydował się ulokować swój interes niedaleko ruchliwej trasy z Brukseli do Lille i jak do tej pory nie żałował tej decyzji. Turyści bardzo często zatrzymywali się tu na noc, by rano spokojnie ruszyć dalej. Do obu miast mieli mniej więcej jednakową odległość i to było bardzo wygodne.

Pierwsze piętro, gdzie znajdował się balkon a na nim mężczyźni, nie był jakimś szczególnym miejscem, skąd można podziwiać widok. Parking, ginąca w ciemnościach szosa i nieprzyjemnie czarna ściana lasu, tuż za nią, to było to, czego większość turystów raczej nie ma ochoty oglądać o drugiej w nocy. Niedaleko, na pobliskim drzewie, zawzięcie zaczęła hukać sowa, co przypomniało niektórym nocnym markom, że pora już schować się pod kołdrę.

Obaj panowie, ubrani w sportowe bluzy z kapturami i džinsy siedzieli w wygodnych słomianych fotelach trzymając nogi na ozdobnej balustradzie balkonu. Ta półleżąca pozycja pozwalała im nie tylko relaksować się po długim joggingu, jaki często uprawiali nocą, ale i opierać na brzuchach szklanki z czerwonym sokiem, który z lubością popijali małymi łyчками. Niestety, zapas soku kończył się powoli i panowie będą musieli pomyśleć o zdobyciu nowego. Ta świadomość zawsze rodziła w nich lekkie podniecenie. Zdobywanie soku... Tak, to jest to, co naprawdę lubili najbardziej.

– Nieźle te gwiazdy... – mruknął od niechcienia czarnowłosy szczupły mężczyzna w bordowej bluzie.

– Mhm... Sporo ich – przyznał drugi, również czarnowłosa.

Umilkli zasłuchani w ciszę nocną i sowę. Był to w tej chwili jedyny odgłos przyrody. Ponure echo rozpływało się po okolicy i ginęło w pobliskim lesie.

Pozostałe niepokojące dźwięki miały swe źródło znacznie bliżej, bo dochodziły z jednego z pokoi hotelowych. Nie wszyscy bowiem, z nielicznych gości, spali smacznym zdrowym snem, tak jak powinni to robić ludzie prowadzący dzienny tryb życia. Jakaś para kochanków, z zapamiętaniem rozpoczynała swą trzecią grę miłosną, drażniąc zmysł słuchu sąsiadów w sposób bezczelny i bezwstydnym.

– Zenthel... – jęknął mężczyzna w bordowej bluzie. – Dlaczego ludzie mnie nie lubią. Co ja im takiego zrobiłem, że zawsze mnie nienawidzą.

– Nie wiem, Romes – westchnął nieco znużony Zenthel. – Już mógłbyś przestać o tym myśleć, bo w końcu zwariujesz.

– Przecież jestem przystojny, uprzejmy, miły dla wszystkich, naprawdę się staram... Dlaczego do cholery kobiety się mnie boją!

Zenthel zerknął z ukosa na przyjaciela dyskretnie oceniając jego „przystojność”. Fakt. Był przystojny. Westchnął ciężko. Od czterech lat słyszał ciągle to samo pytanie, na które nikt nie znał odpowiedzi.

– No bo, cholera, nie rozumiem tego! – Romes zdjął nogi z balustrady i wyprostował się w fotelu. – Dlaczego tylko zwierzęta dostają świra na mój widok! Przecież jestem dla nich katem!

– Stuknijmy się. Trzeba jakoś osłodzić sobie ten los.

Brzęknęły obie szklanki, czerwony sok zafalował delikatnie i kolejna jego porcja zniknęła w gardłach mężczyzn.

Jakby na potwierdzenie, że los naprawdę brutalnie zadrwił z Romesa, ciszę nocną przeciął wyjątkowo spazmatyczny jęk podekscytowanej kochanki i jej partnera. Mężczyzna nerwowo przełknął ślinę.

– Co za cholernie frustrujące odgłosy!

– Jak chcesz mogę ich uciszyć.

– Daj spokój. Niech się jeszcze pocieszą życiem – mruknął nieszczęśliwy Romes tonem „widzisz jaki jestem uprzejmy?”

– Zaraz, zaraz... ktoś to już kiedyś powiedział... kto to był...

– Co mnie to obchodzi.

– Niech się jeszcze pocieszą życiem... niech się pocieszą...

– Na pewno jakiś podglądacz.

– Nie, nie, czekaj... niech się pocieszą... ROMES!!!

– Co!
– LORD!!!
– Jaki Lord?!
– No ten... jak on się nazywał....
– Ach TEN! – zaniepokoił się na dobre Romes. – Co z nim?
– Który dzisiaj jest?!
– Szesnasty sierpnia!
– Który rok?!
– ...O jasny gwint...
– Właśnie!
– Cholera! Czy ty zawsze musisz przypominać sobie wszystko w ostatnim momencie?!

Obaj mężczyźni błyskawicznie dopili krew, gdyż to ona właśnie była tajemniczym sokiem, po czym rzucili się do pokoju. W parę minut spakowali swoje rzeczy i wybiegli na oświetlony słabym światłem parking. Nerwowym ruchem Romes otworzył drzwi najnowszego, czarnego modelu audi, a już po chwili pędzili przed siebie zostawiając gdzieś z boku Brukselę i Lille, gdyż te właśnie miasta i ich mieszkańcy nie powinni nas więcej interesować.

Celem wyprawy była mała, ponura wioska, zapomniana przez cały świat, leżąca gdzieś na trasie do Bonn. Oprócz tego, że wioska była ponura i zapomniana, posiadała również mało wpadającą w ucho nazwę, której nikt z przejezdnych nie starał się nawet zapamiętać. Było to bardzo praktyczne i wygodne nie tylko dla tubylców.

Obaj przyjaciele, pokonując prawie dziewięćdziesiąt kilometrów, dotarli na miejsce w niespełna pół godziny, pędząc na złamanie karku, co w przypadku wampirów nie miało jakiegoś szczególnego znaczenia.



– Kot! Znajdź czarnego kota, a ja zajmę się resztą! – zawołał Zenthel, kiedy tylko z piskiem opon zahamowali na parkingu, tuż przed wejściem na cmentarz, gdzie wiek najstarszych grobowców sięgał aż XV wieku. Stały tam już dwie, oczywiście czarne, limuzyny i obaj panowie zaklęli siarczyście.

Romes nie czekał na dalsze instrukcje. Doskonale wiedział jak się zabrać za niełatwe, choć przyjemne zadanie. Zwierzęta go uwielbiały, więc wykorzystywał to

w sposób bezwzględny. Ich pulsująca ciepłem krew była dla niego więcej warta niż krew ludzka, doprawdy sam nie wiedział dlaczego. Przecież ostatecznie był wampirem...

Swym niezwykle szybkim biegiem rzucił się w stronę najbliższych domostw i stanął pośrodku asfaltowej drogi. Oczy zabłyśły mu delikatnym czerwonym blaskiem. Skupił się i wyprostował omiatając gniewnym spojrzeniem całą okolicę. Koty... koty... kici, kici... Na miłej i przyjemnej twarzy zaigrał dyskretny, ale wyjątkowo zjadliwy uśmieszek. Koty... przybądźcie... kici, kici... Czekał.

O prawie w pół do trzeciej nad ranem ponura, zatopiona w dzikich krzakach wioska spała w najlepsze. I bardzo dobrze. W przeciwnym razie nieliczni mieszkańcy byliby świadkami niecodziennego zjawiska. Otóż z najdziwniejszych i najciemniejszych zakamarków zaczęły wychodzić koty wszelkiej maści, wielkości i płci. Wszystkie w pośpiechu kierowały się w stronę wysokiej szczupłej sylwetki mężczyzny. Jakies dziesięć minut później wokół nóg Romesa kręciło się stadko około dwudziestu paru kotów i wciąż przybywały nowe. Wszystkie starały się przytulić do nóg swego pana, mruzczały przymilnie i warczały jedno na drugie walcząc o uprzywilejowane miejsce. Romes przez chwilę przyglądał się zwierzakom mrużąc oczy. Szukał tego jedyne. Kucnął i każdego kota dotykał głaszcząc delikatnie i smyrając pod bródką. Sprawdzał.

– Macie dziś szczęście, że już jadłem. – powiedział – Ty... nie, ty się nie nadajesz... ty też nie. O, jaki jesteś ładny... Ciebie bym oszczędził, tak czy inaczej. Cholera! Żaden z was... Tylko cztery czarne? Niedobrze...

I nagle zobaczył go. Był wspaniały! Potężny kocur, którego mięśnie, niczym napięte struny, przemieszczały się pod futrem z wdziękiem tancerza. Usiadł na wprost i dumnie zadarł głowę. Wielkie żółte oczy spojrzały uważnie w błyszczące czerwonym blaskiem oczy wampira, ani na chwilę nie tracąc go z widoku. Promieniował siłą i elegancją roztaczając wokół siebie mocną aurę charyzmy. Romes odniósł wrażenie, że patrzy prosto na kociego boga. Myślący i inteligentny, silny i władczy kocur. Zabójca myszy i ptaków. Pogromca. Wampir uśmiechnął się odsłaniając kły, które mimowolnie lekko się wysunęły.

– Jesteś...

Tak! Ten kot będzie oczami Lorda... (nie pamiętał jego nazwiska). Będzie śledził dla swojego pana nieprzyjaciół, będzie donosił i ostrzegał warcząc i gryząc. Wygodny, mały szpieg, trzeba przyznać. Romes ostrożnie wyciągnął rękę. Kot

spojrzał na nią łaskawie i od niechcienia podszedł. Powąchał palce, oblizał się, po czym usiadł z powrotem, czekając.

– Chodź za mną. – rozkazał wampir nie tracąc czasu i ruszył powoli w stronę cmentarza. Zaraz jednak odwrócił się zaniepokojony. Wszystkie koty dobiegły do niego i znowu kłębiły się ocierając o nogawki.

– Hej! Wy zostajecie! Jazda! A sio! Wracajcie! – machał nerwowo ręką, ale zwierzęta ani myślały o powrocie. Tuliły się szczęśliwe wokół nóg i mruczały w najlepsze. Walka z nimi wydała się być beznadziejna.

Romes stanął zdenerwowany, pokręcił się trochę... co z tym fantem zrobić? Pójdą za nim, tak czy inaczej. Odnajdą go zawsze i wszędzie. Nie uwolni się od całej tej miauczącej hałastu. Potrafił bez problemu przywoływać zwierzęta, ale jeszcze nigdy nie udało mu się odesłać je z powrotem! Do diabła! Skupił się wpadając na wyjątkowo złośliwy pomysł i już po chwili z całej okolicy zaczęły ściągać psy.

Wampir nie czekał na nic więcej. Chwycił kota-wybrańca na ręce i pobiegł w stronę cmentarza. Dopiero kiedy stanął przed bramą coś w wyglądzie przyszłego pupila Lorda... (...nieważne) zaniepokoiło go. Wyprostował przed sobą ręce trzymając kota pod łopatkami i przerażony zamrugał gwałtownie. Kot był biały jak śnieg, bez nawet najmniejszej łatki, czy plamki wokół nosa... niedobrze, oj, niedobrze...

Tymczasem gdzieś niedaleko rozszalała się kakafonia wściekłego ujadania i związane z nią odgłosy bezpardonowej walki, skowyt psów i darcie kotów. Zaraz potem dołączyły do niej krzyki podenerwowanych ludzi. Pozapalały się światła i wioska obudziła się wcześniej niż planowała.



W momencie kiedy Romes pobiegł szukać kota, Zenthel wpadł na cmentarz. Przebiegł wąskimi alejkami, między nowymi grobami obłożonymi kwiatami i lampkami. W niektórych migotały jeszcze delikatne płomyczki dopalając knoty. Wampir w pośpiechu skierował się w najstarszą część cmentarza. Tutaj, w ciemnościach, między bujnymi krzakami i pokrzywami majaczyły niesamowite, pokrzywione pomniki, przedstawiające najczęściej zadumane dziewczynki. Na dodatek, jakby spod ziemi, zaczęła napływać dziwna mleczna mgła. Pojawiała się zawsze w nocy, kiedy tylko wampir przekraczał bramę cmentarza. Było to

wystarczająco denerwujące i frustrujące zjawisko. Snuła się między grobami i gęstniała szybko dopóki wampir nie odszedł. Kamienne pomniki dziewczynek niemal zdawały się obserwować każdego i szeptać do śmiałków, jakby prosiły o spokój, albo szukały zemsty. Prawdopodobnie w zamierzchłej przeszłości, na terenie wioski pracował jakiś nieuchwytny morderca dzieci.

Zenthel nie bał się niczego. Nie żył już od prawie pięciuset lat z czego był niemal dumny. Odszukał prastary grobowiec niemal dokładnie obrosnięty dzikimi krzakami przez co świetnie zlewał się z otoczeniem a tym samym w żaden sposób nie prowokował ludzkiej ciekawości. Był zamknięty ozdobną, zardzewiałą metalową bramką. Na szczęście dla wampirów wioska nie miała pieniędzy, by inwestować w renowację wątpliwej urody cmentarnych zabytków sakralnych i to było wygodne. Grobowiec przez całe wieki mógł służyć jako miejsce tajemnych spotkań. Mógł, ale tego nie robił. W dobie XXI wieku nikomu z ludzi nocy nie uśmiechało się chodzić po jakichś starych cmentarzach, kiedy wokół świat oferował znacznie więcej ciekawszych możliwości.

Zenthel energicznie szarpnął uchyloną przez kogoś połówkę drzwi bramki i... wyrwał ją z przerdzewiałych zawiasów.

– Szlag!

Przez następne dziesięć minut walczył z połówką bramki, by umieścić ją z powrotem na zwichrowanym zawiasie. Pracował zapamiętane, pomny faktu, że nic, absolutnie nic, nie może zdradzić czyjejkolwiek obecności w tym miejscu. Bramka miała pozostać taką, jaką zapamiętali wieśniacy, do czasu przebudzenia się Lorda, oczywiście, a więc do jutra wieczorem. Potem nie miało to znaczenia. Potem, nawet cały grobowiec może się zawalić. Teraz byłoby jednak nieciekawie, gdyby jakiś zabłąkany wieśniak zauważył, że ktoś kręcił się po tej niebezpiecznej okolicy i to właśnie teraz.

Udało mu się ustawić drzwi, ale nie wyglądało to interesująco. Górny bolec, na którym wisiały, urwał się ostatecznie i połówka bramki sterczała teraz pod dziwnym kątem od pionu. Zenthel nie miał czasu, aby bawić się w prostowanie. Zaklął i otoczony po kostki tajemniczą mgłą wszedł do środka zimnej kamiennej krypty. Minął półki z prastarymi zamurowanymi trumnami. Były opisane pięknym gotykiem wyrytym bezpośrednio w tynku. Niektóre litery starły się, skruszały przez lata i trudno je było teraz odczytać. Nikt już nie znał spoczywających tu ludzi i nie kojarzył z żadnym z rodów zamieszkujących obecnie wioskę. Zenthel zszedł głębiej

w ponurą ciemność, po siedmiu marmurowych, nieco pokruszonych szczeblach schodów. Były opruszone kurzem i ziemią. Otworzył następne drzwi, masywne, metalowe i ozdobnie okute.

Wszedł do nieprzyjemnie ciemnej, choć oświetlonej trzema pochodniami sali wielkości może dziesięć na dziesięć metrów. Pośrodku, na marmurowym katafalku stała niezwykle elegancka czarna trumna. W sposób poetycki i nieco złowieszczy sączyło się na nią chłodne błękitnawe światło księżyca. Wpadało prostym strumieniem przez zakamuflowany roślinnością otwór w suficie. Stwarzało to dość tajemniczy nastrój. Ozdobiona czarnymi liściastymi elementami trumna była czysta, błyszcząca, jakby właśnie przed chwilą wyszła spod ręki mistrza.

Wampir uśmiechnął się pod nosem.

– Widzę, że umyście trumnę Lorda. Nie ma to jak inicjatywa własna. Kogo mam pochwalić?

Dopiero teraz, z nieprzeniknionej ciemnością kątów, wyłoniło się niczym duchy siedem, na czarno ubranych sylwetek, smukłych, wysokich wampirów, kobiet i mężczyzn.

– Daruj sobie ten sarkazm. To my za was odwalamy całą czarną robotę. Warujemy przy trumnie jak te psy. Zaczynam wątpić, czy w ogóle wiesz, kto tu śpi! – syknął jeden z nich, nie wiadomo który, gdyż wszyscy wyglądali właściwie tak samo. Z nienawiścią wpatrywali się w Zenthela, błyskając białkami oczu i zdrowymi zębami o delikatnie wydłużonych kłach.

– Od tego jesteście. I nie tym tonem, proszę.

– Przepraszam...

– Wybaczam – mruknął wspaniałomyślnie Zenthel. – Czy ktoś wie, kto organizuje te cholerne mgły na cmentarzach?

Wampiry milcząc spojrzały pod nogi przez chwilę obserwując mgłę, potem niepewne i zaskoczone strzeliły spojrzeniami po sobie. Na koniec wzruszyły ramionami. Od wieków nikt nie znał odpowiedzi na to dramatyczne pytanie.

– Tak tylko pytałem. Macie dziewczice?

– Jasne! Ktoś musiał się tym zająć.

– Sprawdziliście, czy nie śmierdzą spermą?

– Niby jak mamy to sprawdzić? Tylko takie pięćsetletnie staruchy jak ty i Romes mają węch psa! – zawołał coraz bardziej zdenerwowany wampir, na razie jeszcze nierozpoznawalny z całej gromady.

– Po raz drugi wspomniałeś psy!

– Sorry, szefie. Miałem na myśli prawdziwe psy, a nie te zawszone kundle wilkołaki, oczywiście.

– Wybaczam. – mruknął znowu Zenthel – Gdzie te dziewczice?

– W sali obok.

– A jak nie będą dziewczicami? – zapytał ktoś z ciekawości.

– Nie będziemy sprawdzać. Najważniejsze, żeby nie śmierdziały męskimi hormonami i tymi cholernymi perfumami, bo Lord nam nie daruje. Chodźmy.

– A co z kotem? – zacięła się jakaś wampirzyca.

– Romes się tym zajął... zaraz... Co to jest!?

Zenthel złapał wampirzycę za kosmyk włosów i przysunął twarz do jej twarzy, jakby chciał się bardzo dokładnie przyjrzeć.

– Ee... loczek?

– Jakiego on jest koloru?

– ... Blond?

– BLOND!!! – ryknął Zenthel wściekły – O czym była mowa na ostatnim spotkaniu organizacyjnym trzy lata temu?

– Trzy lata... nie pamiętam...

– To ci przypomnę! Żadnych blond włosów! CZERNÍ! Tylko i wyłącznie CZERNÍ!! Czy naprawdę muszę wam przypominać co trochę, że Lord kocha czerń? Masz jeszcze trochę czasu do szesnastej. Zrób coś z tym!

– Tak jest, szefie – prawie szepnęła wampirzyca.

– To dotyczy wszystkich was! Jasne?

Przez chwilę pozostałe wampiry dyskretnie obserwowały się nawzajem, analizując kolor włosów swój i współpirców. Co niektórzy podnieśli kołnierzyki koszul i wtulili w nie głowy.

Zenthel ruszył dziarskim krokiem na zaplecze. Poczul się dziwnie zadowolony. Władza! Przez jakiś czas jeszcze może się nią cieszyć.

Zaplecze okazało się niewielkim pomieszczeniem, może trzy na trzy metry. Pośrodku znajdował się wielki, prostokątny, murowany blok, zapewne ukrywający w swym wnętrzu trumnę z nieznanym lokatorem. W tej chwili blok służył jako stół, na którym poukładano różne pudła. W kątach poupychano rupiecie wszelkiego typu, resztki krzeseł, stos szmat, które z wiekiem stały się szarą bryłą i starą komodę zjedzoną kiedyś przez korniki. Wszystko to pokrywał kilkusetletni kurz i sine smugi pajęczyn z poprzyklejanymi do nich paprochami i wyschniętymi trupkami owadów.

Stos pochodni, specjalnie przygotowanych na uroczystość, leżał ułożony pod ścianą obok kilku innych kartonowych pudeł. Na szczęście tylko wampiry знаły ich tajemniczą zawartość.

W pomieszczeniu były też dwa, specjalnie przyniesione krzesła, na których w bezruchu siedziały dwie dziewczyny, może siedemnastoletnie. Obie mocno zahipnotyzowane, tępo wpatrywały się pustymi oczami gdzieś przed siebie. Straż Lorda bardzo się napracowała, żeby je dobrze ośmiesić. Nierozpoznawalny wampir delikatnie zamknął opadającą szczękę jednej z nich i pieszczotliwie pogłaskał po głowie. Zenthel mlasnął z zadowolenia. Tak, dobra robota. Ładne dziewczyny. Nie zamierzał jednak nikogo chwalić na głos.

Stała naprzeciwko pierwszej. Była ubrana w czerwoną obcisłą, solidnie wydekoltowaną bluzkę, krótką, mocno falbowaną czarną spódniczkę, rajstopy w czarno-białe pasy i wysokie czarne glany przecierane na czerwono. Krótkie, przefarbowane na czarno włosy otaczały ładną twarz. „Miód-malina”!

Wampir nachylił się i lubością zaciągnął wonią młodego ciała tuż, przy jakże ponętnej szyi. Poprzez otoczkę tanich perfum przedarł się niepokojący nozdrza zapach. Pociągnął nosem drugi raz, zmarszczył brwi, wciągnął zapach po raz trzeci i zamarł z wściekłości.

– To zaćpana do nieprzytomności narkomanka! Nie dość, że nie dziewica, to jeszcze na takim haju, że ledwo oddycha! Coście mi tu przyprowadzili! Skąd ją wytrzasnęliście!?

– Noo... z imprezy...

– Z imprezy!! Tak trudno się domyśleć, że na imprezach się ćpa?!

– Nie wyglądała na taką, miała tyle energii i tak świetnie tańczyła... – próbował usprawiedliwiać się jeden ze współpójców. Pozostali natychmiast przytaknęli.

– To ja mogę ją szybko odstawić z powrotem! – zaoferował się gorliwie młody 50-latek, dyskretnie oblizując wysuwające się kły.

Zenthel powoli odwrócił głowę i wściekłym wzrokiem spojrzał prosto w oczy wampira.

– Czy to nie tobie przypadkiem wspominałem coś o odwykówce?

Chudy blondyn zmieszał się, skulił i wycofał w ciemny kąt.

Ze złymi przeczuciami Zenthel podszedł do drugiej dziewczyny. Jasne loczki kręciły się wokół prawie dziecięcej buzi. Zmarszczył brwi.

– Ile ona ma lat?

– Siedemnaście. Tak przynajmniej mówiła – zapewnił nierozpoznawalny wampir.

Zenthel nieufnie przyjrzał się dziewczynie jeszcze raz... hm... może i ma... Była w różowej piżamie w białe króliczki, a na nogach miała wielkie, różowe trepki na kształt również królików. Zenthel pociągnął nosem tuż przy szyi i teraz wściekłość dosłownie z niego wybuchła.

– To nie jest dziewczica!!

– Jak to!? Przecież te króliczki i w ogóle... jak dziewczynka...

– Powiedziałem! Odstawić je do domu i nie podpijać! Żeby nie potrafić znaleźć głupiej dziewczicy! Ruszać się! Czas nagli, zaraz będzie świt!

Zamaszystym krokiem Zenthel wyszedł z sali. Przemknął obok trumny z Lordem, którego nazwiska nikt nie pamiętał i ruszył do wyjścia. Tu nagle zatrzymał się, pomyślał... no nie, będzie musiał sam osobiście poszukać dziewczicy. Przecież te niedojdy nie wyrobiły sobie jeszcze dobrego węchu! Zaklął w duchu i wrócił.

– Najmłodszy, którzy nie mogą chodzić za dnia i ci co jeszcze nie potrafią zamienić się w nietoperza zostają i pilnują Lorda. Reszta idzie ze mną! Bierzcie dziewczyny. Ruchy, ruchy!!

Niedoszłe ofiary i byłe dziewice zostały wywleczone przed bramę cmentarza w momencie, kiedy niebo zaczęło rozjaśniać się delikatną słoneczną poświatą, co nie było dobre a Romes właśnie przyglądał się śnieżnobiałemu kotu trzymając go w wyciągniętych ramionach.

– Litości!! Romes! CO TO JEST!! – zawył Zenthel z rozpacz.

– Nowy Lazur Lorda! Nawet nie masz pojęcia ile ma w sobie siły! Jest nieprzeciętnie mądry i...

– Jest biały...

– Wiem, cholera, wiem!! Ale to jest TEN kot i żaden inny!

– JEST BIAŁY!!

– Myślałem już o tym. Ufarbujemy go na czarno.

– CO?!

– Słyszałeś. Dziewczyny mi pomogą. A co robicie z tymi dziewczycami?

– To nie są dziewice – jęknął Zenthel.

– Jak to...

– Słyszałeś! Musimy je odstawić... Co się tam dzieje? Co to za hałasy w wiosce?

– Ee, nie mam pojęcia. – Romes nerwowo strzelił oczami i wzruszył ramionami.

- Coś ty znowu narozrabiał?
- Ja? Nic. A ty wybaczyłeś już coś komuś?
- Bardzo śmieszne – skrzywił się Zenthel. – No dobra. Chodźcie, zanim do reszty wzejdzie słońce. Wyrzucimy dziewczyny gdzieś po drodze i pojedziemy do miasta. Tam są większe możliwości i prędzej znajdziemy dziewice.
- Nie byłbym tego taki pewny...

ROZDZIAŁ DRUGI

Mniej więcej w tym samym czasie, jakieś 100 km na północ, czy też południe, nikt tego dokładnie nie ustalił, w niewielkim belgijskim miasteczku o wdzięcznej nazwie Lagnemark, bardzo przystojny, czarnowłosy młodzieniec i jego prześliczna blond dziewczyna, leżeli na obszernym łóżku odpoczywając po igraszkach miłosnych. Młodzieniec, nieco bladawy i szczupły, cmoknął dziewczynę w słodkie czerwone usta i wstał. Był goły i nie wstydził się tego, tym bardziej, że jego męskie atrybuty zasługiwały conajmniej na uwagę każdej najwybredniejszej nawet kobiety.

- Co ci przynieść do picia, kochanie?
- Mmm... – przeciągnęła się jak kotka prezentując wspaniałe bujne piersi, na co młodzieniec uśmiechnął się szczęśliwy – Jest jeszcze trochę mleka w lodówce...
- Ok.

Przez chwilę dziewczyna z lubością obserwowała zgrabne pośladki znikające w kuchni i zadowolona westchnęła, również szczęśliwa. Była czwarta nad ranem, ale oboje wcale nie czuli się zmęczeni.

- Proszę.

Chłopak podał ukochanej szklanę lodowatego mleka i usiadł obok ze swoim czerwonym sokiem. Pili przez chwilę małymi łyчками zerkając na siebie z uwielbieniem. Kiedy odstawili puste szklanki na szafkę obok łóżka, wtulili się w swoje młode ciała i milcząc odpoczywali dalej. Nawet nie zauważyli kiedy zasnęli.

Właściwie zasnęła tylko dziewczyna. Młody mężczyzna bowiem nie potrafił spać, ale za to wspaniale marzył z zamkniętymi oczami i rozmyślał nad swoim szczęściem. Trwało ono nieustannie, z jednakową siłą, już od pięciu lat. To niewiary-

godne, a jednak prawdziwe. Chłopak do tego stopnia zagłębił się w marzeniach, że nie zauważył, jak powoli jego umysł zwalniał tempo a narastające światło słoneczne, niczym zdradliwy gaz usypiało czujność. Wreszcie ciepły promienny blask rozlał się po pokoju i otulił parę kochanków. Ćwierkające za oknem ptaki obwieściły sobotę o godzinie około siódmej rano, więc co niektórzy szczęśliwcy, nie obciążeni myślą o czekającej pracy mogli spać do woli. Para zakochanych również, gdyby nie jeden istotny szczegół... Z całej sylwetki młodzieńca począł się unosić delikatny dymek i zapachniało spalenizną.

Chłopak poruszył się niespokojnie, a dziwne osłabienie jakie go dopadło pozwoliło jedynie na położenie zimnej ręki na piersi kobiety. Jęknął. Dziewczyna, jakby wiedzona czystym instynktem, obudziła się nagle, siadając gwałtownie. Jedno spojrzenie na kochanka i...

– O BOŻE!! Kess!! Kess, kochanie! Palisz się!!

Szarpnęła chłopakiem, ale ten tylko coś mruknął półprzypadkiem i spojrzał błagalnie na kochankę.

Nie było chwili do stracenia. Za moment mógł się rozegrać prawdziwy dramat! Dziewczyna podbiegła do okna, nerwowym ruchem zaciągnęła żaluzje i dodatkowo zasłony, po czym rzuciła się do kuchni. Wróciła z wielkim garnkiem pełnym zimnej wody, którą z impetem i w całości wylała na chłopaka. Zasyczało, buchnęła para i Kessel jęknął ochłoniwszy nieco. Usiadł wspierany przez dziewczynę. Jej bujne piersi falowały nerwowym oddechem tuż przed oczami chłopaka i może właśnie był to widok, który nie pozwolił Kesselowi tak szybko oprzytomnieć. Wpatrywał się w nie otępiały i powoli, wolniej niż należało, dochodził do siebie.

– Jak się czujesz? – odgarnęła mu z twarzy czarne mokre kosmyki i wpatrzyła się przestraszona w błyszczące lekkim szokiem oczy.

– Już lepiej...

– Masz czerwone bąble od oparzenia!

– Przejdzie... chyba właśnie uratowałaś mi życie... – jęknął i korzystając z okazji wtulił głowę w miękki biust – Zupełnie się w tobie zatraciłem...

– A ja w tobie i zapomniałam o oknach... Przepraszam – pocałowała Kessela w głowę i mocniej przytuliła.

– To ja przepraszam. Jeszcze trochę i byłby pożar. Mogłaś zginąć! Nigdy w życiu nie darowałbym sobie tego.

– Sam byś nie żył! Moje życie nie miałoby wtedy sensu!

Kessel z niechęcią oderwał się od miękkiej poduszki z piersi i wyprostował. Zajrzał prosto w oczy ukochanej.

– Wiesz kim jestem, może naprawdę nie powinnaś...

– Kess, kochanie, walcujemy ten temat już od pięciu lat! Wybrałam ciebie i koniec! Poza tym, jest dzień. Musisz się gdzieś ukryć.

– Mogę szybko przebiec do jakiejś piwnicy albo na strych.

– Lepiej do piwnicy. Zaprowadzę cię do mojej, zamknę na klucz i nikt się tam nie dostanie, a ty odpoczniesz.

– Dobrze. Jesteś cudowna, Isabell.

Dziewczyna cmoknęła młodego wampira w czoło badając przy okazji, czy się za bardzo nie przegrzał. Czym prędzej ubrała się w dżinsy i zwykłego tiszerta. Pomogła ubrać się Kesselowi, zakładając na jego głowę kaptur sportowej bluzy. Następnie zakochani szybko zbiegli po schodach do piwnic. Na szczęście, o tej porze mieszkańcy jeszcze spali i korytarze były puste. Właściciel dwupiętrowej kamienicy, u którego Isabell wynajmowała mieszkanie, nie lubił kiedy dziewczyny spraszały na noc jakichś kochanków. Tępił to z całą surowością wyrzucając takie lokatorki na bruk. Porządek świata, jaki sobie narzucił, nijak miał się do realiów życia.

Zakochani weszli do ciemnego zakątka wąskiego korytarza, gdzie w ponurej wnęce stanęli przed topornymi, brudnymi drzwiami z numerem dwanaście. Isabell przekreśliła kluczyk w kłódce i otworzyła piwnicę. Właściwie nigdy tu nie zagłędała. Całe małe pomieszczenie było zagracone dziwnymi szczątkami starych mebli, które stanowiły spuściznę po poprzednim lokatorze.

Dziewczyna szybko cmoknęła Kessela w usta. Nie zdążył odwzajemnić pocałunku.

– Śpij dobrze, kochanie.

– Dziękuję...

Rany po oparzeniu promieniami słońca zagoiły się szybko i chłopak westchnął wpatrując się z czułością w brązowe oczy Isabell. Chwilę później otulił się delikatną mgiełką. Kiedy się rozwiła, w powietrzu podrygiwał niewielki nietoperz, bijąc gwałtownie skrzydłami. Następnie wleciał w głąb czarnego pomieszczenia i uczeplił się czegoś pod sufitem. Tam owinał ciało błonami skrzydeł, ukrył łebek i zasnął.



Miasteczko Lagnemark posiadało dwie biblioteki i tyle bibliotek wystarczyło mieszkańcom w zupełności. Na dobrą sprawę wystarczyłaby tylko jedna, ale burmistrz nie mógł ścierpieć żartów na temat swojego miasta. Traktowały one istnienie biblioteki w Lagnemark jako cud, pomyłkę lub absurd. Zakładając drugą bibliotekę żarty nabrały nowego wymiaru, który rozumieli już tylko tubylcy. Fakt istnienia dwóch bibliotek w tak małym miasteczku przyjezdni odbierali z niejakim zdziwieniem i szacunkiem dla niezwykle odczytanych mieszkańców.

To był niewątpliwie sukces, jaki osiągnął burmistrz i tego nie należało mu odbierać. Prawda była jednak bardziej brutalna. Świetnie zaopatrzone biblioteki, cierpiały na brak zainteresowania ze strony potencjalnych czytelników, toteż każdego kto przychodził witano jak świętego nawiedzającego ów przybytek. Dopiero kiedy wprowadzono darmowe herbatki i poczęstunki ciasteczkami liczba czytelników nieco wzrosła. I to już był naprawdę duży sukces.

Właśnie w zaciszu jednej z bibliotek, przy kwadratowym stoliku, w kącie nazwanym czytelnia, siedziała około trzydziestoletnia kobieta o nieco rozczochranych ciemnoblond włosach, które ciągle a to zakładała za uszy, to znowu przeczesywała palcami, by odgarnąć je do tyłu. Nie byłoby w tym nic szczególnego, zważywszy na zupełnie przeciętny wygląd kobiety i miejsce jakim był kącik nazwany czytelnia, gdyby nie fakt, że stolik usłany był całą masą kartek. Na brzegu znajdowało się jeszcze kilka książek z kolorowymi zakładkami a ekran monitora komputera, przed którym siedziała czytelniczka, rzucał czerwoną poświatę na twarz. Co jakiś czas wygrzebywała ze stosiku kartek jakieś pojedyncze zapiski, uzupełniała je i odkładała, by wrócić do nich po tym, jak przeczytała coś na ekranie. Google zaoferowało tysiące stron o tematyce „wampir” i kobieta w napięciu przeglądała i czytała dosłownie wszystko.

Chaos jaki panował na stoliku był zupełnym przeciwieństwem tego, co gościło w głowie kobiety. Tutaj fakty, zdarzenia i nazwiska poukładane były precyzyjnie w porządku alfabetycznym lub według dat i absolutnie nic nie było w stanie tego porządku zaburzyć.

Od pierwszych minut, tuż po otwarciu biblioteki, kobieta pracowała tak intensywnie, że nie istnieli dla niej inni ludzie, którzy właśnie odwiedzili dostojny przybytek kultury, by napić się darmowej herbatki, zjeść ciasteczko i przeglądnąć prasę.

Niespodziewanie senną ciszę przerwał dość stanowczy i wyraźny głos.

– Dzień dobry. Czy ma pani coś na temat wampirów?